

Ryszard Skarżyński

Rozczarowanie wskutek niezrozumienia. O podstawach teorii stosunków międzynarodowych i tym, jak nie powinno się czytać tekstów oraz nie wypada pisać recenzji

Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio K, Politologia 16/1, 231-252

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Polemiki. Recenzje. Sprawozdania

Polemics. Reviews. Reports

OD REDAKCJI

W poprzednim tomie „Annales” opublikowaliśmy napisaną przez dr. Dariusza Kondrakiewicza recenzję książki prof. Ryszarda Skarżyńskiego *Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych* (2006). Drukujemy teraz odpowiedź autora książki. Zawartą w niej polemikę z ocenami recenzenta uważamy za realizację prawa do repliki. Na tym kończymy wymianę zdań na temat książki i recenzji. Tekst prof. R. Skarżyńskiego zawiera jednak kapitalnej wagi krytyczne rozważania na temat kondycji teorii stosunków międzynarodowych i szerzej: teorii polityki. Mamy nadzieję, że nie pozostanie on bez echa – dowodziłoby to wręcz marazmu intelektualnego środowiska. Zachęcamy badaczy zajmujących się teorią polityki i teorią stosunków międzynarodowych do podjęcia rękawicy rzuconej przez prof. R. Skarżyńskiego. Informujemy przy tym, że w jednym z najbliższych tomów pisma opublikowany zostanie tekst Autora, w którym prezentuje on pewne elementy swej koncepcji teorii polityki.

Ryszard Skarżyński
[Uniwersytet w Białymstoku]

Rozczarowanie wskutek niezrozumienia. O podstawach teorii stosunków międzynarodowych i tym, jak nie powinno się czytać tekstów oraz nie wypada pisać recenzji

Krytyczne drukowane recenzje prac naukowych zdarzają się u nas bardzo rzadko. W naszych krajowych pismach naukowych spotkałem dotychczas chyba tylko dwie albo trzy. Teraz poznałem kolejną, pióra Dariusza Kondrakiewicza, opublikowaną w „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska” (2008). Ma ona dla mnie szczególne znaczenie, ponieważ dotyczy mojej książki *Anarchia i policentryzm. Elementy teorii stosunków międzynarodowych* (2006). Czuję się przez to doceniony i wyróżniony.

Ponieważ D. Kondrakiewicz zauważył moją książkę, ale, jak sędzę, nie popisał się wyrefinowanym tekstem, pozwałam sobie dokonać czegoś jeszcze rzadszego i mnie samemu

zupełnie dotychczas nieznanego. Mianowicie odpowiadam na recenzję. Nigdy takiej odpowiedzi w naszych periodykach naukowych nie spotkałem. Odpowiadam, ponieważ szanuję i doceniam niestandardowy krok. Jednocześnie wystąpienie lubelskiego Politologa skłania mnie do refleksji nad tym, czym ma być recenzja w czasopiśmie naukowym. Czy mianowicie może napisać wszystko? Na dodatek tylko po przejrzeniu recenzowanej publikacji? Oto pytania, które warto postawić. Dlatego odpowiedź jest dłuższa od tekstu samej recenzji. Nie ma jednak możliwości krótszego odniesienia się do problematyki dotyczącej kilku dziedzin nauki i charakteru oceny książki naukowej.

I. *Anarchia i policentryzm* wzbudza opór D. Kondrakiewicza nie dlatego, że poddał on krytyce teorię w niej zawartą, albo przynajmniej jakieś jej elementy. Czy w recenzji jej Autor zmierzył się przynajmniej z jedną z tez mojej książki? Nie! Czy dlatego, że ich nie zauważył, nie zrozumiał? Ona mu się nie podoba, ponieważ jest inna, aniżeli Recenzent sobie wyobraził, czyli nie jest taka, jaką wedle niego miałyby być.

Śpieszę więc donieść, że nie pisałem książki po to, aby spodobała się ona komukolwiek, ale by mobilizowała do myślenia. Także osoby inaczej postrzegające świat. Z mobilizacją do myślenia w kręgach teoretyków polityki i teoretyków stosunków międzynarodowych, nie tylko zresztą w Polsce, nie jest najlepiej. Znaczna część prac ma charakter ideologiczny, a szereg innych jest po prostu niewiele wart w zakresie wyjaśniania i dlatego zostały skrytykowane, a nawet ośmieszone w licznych recenzjach, których u nas niestety się nie zauważa. Mam tu na myśli przede wszystkim książkę Kennetha Waltza *Theory of international politics*. Głośna swego czasu doktryna Amerykanina, prezentowana jako teoria, jedynie miesza w głowach romantycznie nastawionym badaczom stosunków międzynarodowych.

Najlepszym potwierdzeniem mojej oceny współczesnego stanu teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych (te dwie dziedziny są ze sobą ściśle związane), jest nie kryzys, ale spektakularna klęska szkoły realistycznej, która z pewnością nie zostanie przezwyciężona na gruncie dotychczasowego paradygmatu, ani nawet jego szczątków. Ten bowiem się zużył i należy do historii, chociaż zdaje się, iż mało kto obecnie wie, dlaczego tak się stało. Realizm jest trupem, którego nie da się już mumifikować i trzeba z tego wyciągnąć konstruktywne wnioski.

Należy poszukiwać nowych źródeł inspiracji i oprzeć teorię na tym, co może tworzyć jej podstawę. Nie jest nią z pewnością piana obficie bita przez wielu politologów, podobnie jak nie są ludzka wyobraźnia i uczucia. Nie można w nieskończoność zonglować efektywnymi pojęciami czy pseudoteoriami w stylu długich cykli, reżimów międzynarodowych, równowagi sił czy turbulencji. Niestety na takich podstawach opiera się większość dotychczas wyłonionych szkół teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych.

Tymczasem stosunki polityczne i także stosunki międzynarodowe składają się na specyficzne typy stosunków społecznych (choć oczywiście stosunki międzynarodowe nie są tożsame z politycznymi, ale układają się w zupełnie odrębne typy relacji). Dlatego socjologia tworzy jeden z punktów oparcia zarówno dla teorii polityki, jak i teorii stosunków międzynarodowych. Nie zaś normatywizm i realizm, nie feminizm i liberalizm, nie instytucjonalizm i konstruktywizm, nie teoria reżimów i neofunkcjonalizm, nie wizja turbulencji i geopolityka.

Bez socjologii wszystkie te konstrukcje myślowe są tylko pustym produktem ludzkiej fantazji, zupełnie zawieszonym w próżni. One nie tworzą teorii dających się podważać. Większość z nich to aprioryczne doktryny, dzisiaj wypełnione frazesami i układami towa-

rzyskimi, bronione przed krytyką. Inaczej mówiąc, kiedyś pewnie coś ludziom wyjaśniały, ale obecnie są formą podtrzymywania wiedzy, która przeobraziła się w fikcję i istnieje tylko przy zastosowaniu z pozoru mądrych pojęć. One faktycznie są dowodem braku krytycyzmu i niemocy twórczej. Pozostałe, tak zwane „teorie” są wycinkowymi myślowymi konstrukcjami mniej lub bardziej ważnych aspektów rzeczywistości międzynarodowej. Są nazywane beztrzesko teoriami, ponieważ w języku potocznym tak się często mówi bez zastanowienia nad sensem wypowiedzi.

Najlepszym dowodem tego jest wydana w 2008 r. po polsku głośna książka Alexandra Wendta *Społeczna teoria stosunków międzynarodowych* [1999]. Wbrew tytułowi nie jest to praca socjologiczna tylko filozoficzna. Dlatego być może autor podąża ślepą uliczką charakterystyczną dla autorów traktujących anarchię jako abstrakcję (jak między innymi Hedley Bull i cała szkoła angielska – tylko, że oni tworzyli jakieś pięćdziesiąt lat temu!!!). Gdyby Wendt wybrał podejście socjologiczne, albo przynajmniej uwzględnił jego elementy, mógłby dostrzec, że anarchia jest realnym stanem społecznym, który funkcjonuje w przestrzeni i czasie oraz daje się badać w kontekście charakterystycznych układów sieci stosunków społecznych, tak występujących w przeszłości, jak i obecnie (przykłady obficie prezentuję w 7 rozdziale mojej książki). Wtedy jednak nie rozwijałby refleksji na temat kultur anarchii pojmowanych filozoficznie, lecz zajął się procesami kształtowania i przewycięzania anarchii w obrębie sieci stosunków społecznych gatunku ludzkiego. On tego nie zrobił, ponieważ jego teoria jest filozoficzną refleksją, pod wieloma względami ciekawą, ale jednak zawieszoną w próżni. Wendt jest bardzo ambitny i rzeczowy, ale nie bada społeczeństwa. Wydaje mi się, że on próbuje badać logikę dotychczasowej teorii stosunków międzynarodowych. Nic ponadto.

Czy jednak takowa logika istnieje i czy może nas zadowalać ograniczenie się do jej analizy? Czy można budować teorię, wywodząc argumentację z ułamków poprzednich teorii, tworząc ich kompilację, nawet jeśli opiera się ją na jakichś nowych założeniach programowych? Po trochu tak. Wcześniejsze, nawet wycinkowe interpretacje, powinny stanowić punkt odniesienia. Jeśli wszak próba ogranicza się tylko do tego i nie uwzględnia realnych zjawisk stanowiących przedmiot badania (jak u Wendta), to taka wykładnia jest niewiele warta. Często jest w ogóle nic nie warta. Ona po prostu mało wyjaśnia lub nie wyjaśnia niczego, a jedynie mąci w głowie.

Teoretyk nie może tracić z oczu obiektu dociekań i nurzać się w totalnej abstrakcji, koncentrując na nadaniu jej spektakularnej formy, aby przyniosła mu ona popularność. Tymczasem wielu „teoretyków” stosunków międzynarodowych było zaangażowanych politycznie i próbowało swoimi książkami zdobyć popularność. Niektórym się to udało, ale co dzisiaj pozostało z ich dzieł? Piana opadła, a pod nią nie ma nic.

Konsekwentne podejście socjologiczne nie podoba się D. Kondrakiewiczowi, ale nie wyjaśnia dlaczego i to niestety jest kluczową słabością jego recenzji. On po prostu zadowala się twierdzeniem, że ja mechanicznie przenoszę kategorie jednej dyscypliny do drugiej i kreuję sztuczny obraz rzeczywistości. Czyżby? Przecież już na s. 13–16 i 28–30 wyraźnie wskazuję, że takie podejście jest niedopuszczalne i proponuję alternatywne. Myślę, że w dalszych częściach tekstu potwierdzam to, rozwijając własne koncepcje i wykazując dystans do osiągnięć socjologów, między innymi ujawniający się w braku zainteresowania perspektywą wielkiej przestrzeni i pomijaniem we własnej refleksji problemu stosunku politycznego. Warto tym kwestiom przyjrzeć się bliżej.

Otóż, korzystając z dorobku socjologii, który w odniesieniu do wielkich zbiorowości ludzkich, zwłaszcza w kontekście wielkiej przestrzeni i długiego czasu nie jest zbyt mocny (choć socjologowie twierdzą inaczej i już mnie o tym poinformowali, przekonani o wielkości własnych teorii), próbuję tworzyć nowe kategorie, pozwalające zrozumieć między innymi sposób funkcjonowania narodu i państwa. Mocna jest bowiem mikrosocjologia, zwłaszcza interakcyjna. Ona mówi nam dużo i dość przekonująco na temat funkcjonowania ludzkich relacji i zgrupowań w przestrzeni i czasie. Dorobek mikrosocjologii (na który powołuję się w *Anarchii i policentryzmie*) da się wykorzystać do budowy teorii stosunków międzynarodowych. Ustalenia makrosocjologii pomagają o wiele mniej, chociaż też warto je poznać i rozważyć. Brak natomiast dociekań socjologów na temat specyfiki tego, co polityczne i miejsca zjawisk politycznych w społeczeństwie. Wbrew sugestiom niektórych politologów nie są one obecne w *Socjologii* Piotra Sztompki. Może warto zastanowić się, dlaczego w tej wybitnej książce takie terminy, jak „polityka” i „religia” praktycznie nie występują?

Aby zrozumieć stosunki społeczne wielkiej przestrzeni, a w ich obrębie kształtują się stosunki międzynarodowe, trzeba najpierw przyswoić sobie wiedzę o specyfice stosunków społecznych ludzi. Tak właśnie – ludzi! Jednak nie tylko tych, którzy przechadzają się po alejach Nowego Jorku, czy uliczkach Lublina albo Białegostoku. Idzie o zrozumienie specyfiki stosunków społecznych w kategoriach gatunkowych, a więc charakterystycznych dla zbiorowości ludzkiej nie jedynie w przestrzeni, ale również w długim czasie życia dziesiątków, a nawet setek generacji. Kiedy w wielkiej przestrzeni kształtują się, rozwijają, a potem powoli upadają potęgi polityczne, tworzące nie abstrakcyjne jednostki walki, lecz zgrupowania milionów żywych ludzi. Związanych sieciami wspólnych stosunków, generujących odrębne kultury, dysponujących własnymi gospodarkami i wreszcie wyłaniającymi dla siebie specyficzny porządek społeczny.

To wszystko, co wielkie, kształtuje się najpierw w mikroskali, a potem rozwija w rosnącej przestrzeni. Zjawiska społeczne wielkiej przestrzeni muszą wyrastać i istnieć na gruncie relacji ludzi, a nie wskutek funkcjonowania reżimów, zachodzenia turbulencji czy rozwijania się długich cykli w rozumieniu George’a Modelskiego. Jeśli one miałyby faktycznie występować, to musiałyby skądś się brać. W istocie cyklu zawiera się fakt, że coś go inicjuje i rozstrzyga o jego przebiegu. On musi być badany. Cykle mogą być wyłącznie efektem stosunków społecznych żywych ludzi. Dlatego teoria stosunków międzynarodowych nie może operować tylko kategoriami makro. Jeśli chce poważnie wyjaśniać funkcjonowanie stosunków międzynarodowych, a są to zawsze stosunki społeczne, a więc relacje, w których uczestniczą ludzie, będący nie przedmiotami, nie rzeczami, ale organizmami wyposażonymi w umysł i przejawiającymi osobiste dążenia, jest skazana na analizę zjawisk mikrosocjologicznych i posługiwanie się koncepcjami mikrosocjologii. Inaczej pozostanie fantazją.

Wyłącznie korzystając z dorobku socjologii i twórczo przystosowując go do zastosowania w analizach relacji i struktur wielkiej przestrzeni (piszę do tym dosadnie na s. 16 mojej książki), możemy umiejscowić i ugruntować teorię polityki i teorię stosunków międzynarodowych, broniąc się przed pokusą pięknych, aczkolwiek spekulatywnych, czyli pozbawionych wystarczającej argumentacji rozważań o walce potęg (pojmowanych całkiem abstrakcyjnie jako ścierające się jednostki), o państwie i konfliktach międzynarodowych, o równowadze, turbulencjach i innych zmianach określanych coraz bardziej fantazyjnymi terminami. Gdy badamy owe, nierzadko zupełnie wymyślone koncepcje, warto zastanowić się skąd one się

biorą. Zjawiska wielkiej przestrzeni powstają przecież zawsze w efekcie rozwoju stosunków pomiędzy pojedynczymi jednostkami ludzkimi i są z nimi nierozzerwalnie związane. Ci ludzie uczestniczą w nich przez uwikłanie się w złożone sieci stosunków społecznych.

Dlatego właśnie wychodzę od analizy mikrozwisk społecznych i pewnie to wydaje się D. Kondrakiewiczowi nie mieć związku z teorią stosunków międzynarodowych. W mojej opinii zaś tworzy jej podstawę. Fundament ten, gdy go dobrze zbudujemy, pozwala podważyć i unicestwić wiele kluczowych koncepcji tradycyjnej teorii stosunków międzynarodowych, w tym przede wszystkim abstrakcyjnie rozumianej potęgi, porządku międzynarodowego, suwerenności w sensie absolutnej niezależności i wreszcie ukochanej kategorii Recenzenta, czyli równowagi sił. One są może efektowne, ale czy efektywne w wyjaśnianiu tego, co istotne? Otóż mnie nic nie mówią. Są tylko dętymi pojęciami i pseudokoncepcjami, ponieważ nic nie znaczą. Od ciągłego powtarzania komunałów nie podniesie się ich zdolność wyjaśniania rzeczywistości, chociaż pewnie wzrośnie popularność. Czy aby na gruncie tego mechanizmu, ciągłego, bezrefleksyjnego powtarzania, nie kształtowały się i nie trwają główne koncepcje współczesnej teorii stosunków międzynarodowych?

Obawiam się, że D. Kondrakiewicz opowiada się za takim sposobem uprawiania nauki. Dla mnie to nie jest nauka tylko bicie piany. Jako specjalista od historii myśli politycznej jestem w stanie stwierdzić, że tak buduje się doktryny. One jednak służą nie rozumieniu rzeczywistości, ale uzasadnianiu egzystencji, działań i interesów podmiotów politycznych. Doktryny mają charakter aprioryczny, a ich wpływ ustala się nie przez krytyczną analizę, lecz powtarzanie w kółko właściwych im założeń. Każdy politolog powinien to wiedzieć.

Z doktryną nierozzerwalnie związana jest jej egzegeza. Natomiast teoria budowana jest przez krytycyzm, rozwijanie wyjaśnień alternatywnych i ich selekcję.

Dobrze by było, gdyby teoretycy stosunków międzynarodowych pojęli, na czym polega ta mało subtelna różnica pomiędzy doktryną i teorią. Wówczas otworzyłaby się przed nimi nowa, jakże twórcza perspektywa. Inaczej pozostaną przy trzepaniu piany mającej służyć ukryciu miłośności ich terminologii i aparatu pojęciowego.

Podstawowe kategorie teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych – twierdzą z całą odpowiedzialnością jako specjalista od doktryn politycznych – tworzą zespół pojęć i koncepcji, które dotychczas nie zostały poważnie przemyślane. Większość z nich, najbardziej zresztą wpływowych, powstawała na gruncie języka filozofii politycznej, w ogniu walki ideologicznej i zmagania ugrupowań politycznych. Ich punktem odniesienia jest egzystencja uczestników walk toczonych nierzadko o życie, a to nie sprzyja analizie, wręcz eliminuje ją, nastawiając umysł na artykulację własnych interesów i podtrzymywanie zdolności mobilizacji do zmagania. Terminy i koncepcje współczesnej teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych wyrastają z języka konserwatyzmu, liberalizmu, a przede wszystkim marksizmu, który nadal skutecznie uwodzi umysły akademików we Francji, w Niemczech, a nawet w Stanach Zjednoczonych – kraju, gdzie jednocześnie prymitywny konserwatyzm doprowadził do kompletnego wyprania umysłów znacznych kręgów elit mających się za prawicowe.

Koncepcje używane obecnie na gruncie teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych służą do ekspresji interesów i niejednokrotnie nic lub prawie nic nie wyjaśniają. Bezrefleksyjne posługiwanie się nimi przez reprezentantów nauk społecznych, którzy jednocześnie lekceważą dorobek Maxa Webera i innych dociekliwych socjologów, na przykład Ervina Goffmana, Levisa Cosera, czy Randalla Collinsa, prowadzi do destrukcji teorii

polityki i koncentracji teoretyków stosunków międzynarodowych na problematyce ubocznej. Doktrynalne podejście do cna niszczy wszelkie próby tworzenia teorii polityki i teorii stosunków międzynarodowych. Ono uniemożliwia otwarcie się na socjologię, ponieważ taka perspektywa zrujnowałaby światopogląd tych, którzy mają się za teoretyków polityki i teoretyków stosunków międzynarodowych, ale poza swoim gronem wzbudzają coraz bardziej podejrzania odnośnie tego, czy w ogóle zajmują się nauką – czy w ogóle robią coś poważnego. Dlatego oni bronią się przed nim i uciekają w badanie historii i logiki własnych pomysłów.

Zadajmy sobie proste pytania. Czy to, co nazywamy teorią stosunków międzynarodowych w wielu najbardziej upowszechnianych wydaniach bardzo odbiega od geopolityki? Czy rozumiemy, dlaczego w Niemczech, we Francji i w Stanach Zjednoczonych tworzą doktryny odnoszące się do stosunków międzynarodowych? Natomiast w Argentynie, w Australii i RPA jakoś nie wyłoniło się coś takiego. One miały uzasadniać pozycję potęg Zachodu w świecie. Czy jednak my w Polsce musimy powtarzać i ślepo przyswajać sobie tezy służące budowaniu imperialnych potęg i ich dominacji?

Może w Polsce powstały warunki do zbudowania teorii, nie zaś doktryny! Teorii, która pozwoli zrozumieć takie zjawiska, jak obecna pozycja Polski w układach sił wielkiej przestrzeni. A także pozwoli zrozumieć pozycję w tych układach na przykład Izraela, Iraku i Iranu. Wyjaśnić, co reguluje kształtowanie się zależności w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Na razie doktryny międzynarodowe uzasadniają tylko uprawnienia wielkich potęg wobec mniejszych. Między innymi za pomocą koncepcji „świata wielobiegunowego”, „równowagi sił”, „porządku międzynarodowego” i „wspólnoty międzynarodowej”. Szczególnie twórcy tej ostatniej koncepcji wnieśli znaczący wkład do uzasadnienia imperialistycznej polityki Stanów Zjednoczonych.

To, co się obecnie nazywa teorią stosunków międzynarodowych i co faktycznie jest w przeważającej mierze zestawem doktryn, dusi się oparami pseudonaukowych komunałów z czasów zimnej wojny, a nawet wcześniejszych. Dopóki reprezentanci tej dziedziny wiedzy nie wyzwolą się od takich modnych bzdur, nie stworzą nic, co dałoby się wykorzystać do poważnego wyjaśniania stosunków międzynarodowych.

W książkach na temat teorii stosunków międzynarodowych wymienia się coraz więcej szkół (w drugim wydaniu niemieckiego podręcznika z 2006 r. pod redakcją Siegfrieda Schiedera i Manuela Spindler już 18), pisze coraz dłuższą ich historię, ale to nie podnosi zdolności eksplanacyjnej tych koncepcji. Można odnieść wrażenie, także na podstawie publikacji ostatniego okresu, że teoria stosunków międzynarodowych coraz bardziej przekształca się w dziedzinę zajmującą się nie badaniem rzeczywistości, ale samej siebie, w efekcie pisania przez badaczy parających się nią kolejnych historii dyscypliny.

Jak się nie ma nic do powiedzenia w sprawach samej teorii, pisze się jej dzieje, a nawet je wymyśla, kooptując wielkie nazwiska, chociaż ich autorzy nie mieli pojęcia o świecie narodów, państw dysponujących monopolem legalnej przemocy, a nawet o relacjach wielkiej przestrzeni. Natomiast sam świat stosunków międzynarodowych zdaje się stawać tym autorom, którzy nazywają się teoretykami stosunków międzynarodowych, coraz bardziej obcy – niepojęty. Uważam dominację takich publikacji za wyraz słabości dyscypliny, jej ideologicznej podległości, a nawet symptom upadku. Wywołany nimi stan ośmiesza dziedzinę wiedzy, która ma tak wiele do powiedzenia na temat człowieka i sposobu istnienia gatunku ludzkiego w przestrzeni i czasie jako formy życia. Większość teoretyków stosunków międzynarodowych wierzy, że herbata stanie się słodsza od samego mieszania.

Zacznijmy zajmować się istotą rzeczy i sformułujmy elementarne pytania badawcze. Na przykład pytanie: po co nam teoria?

Teoria ma z pewnością wyjaśniać jakiś aspekt czy obszar rzeczywistości, a nie służyć interesom dominujących grup społecznych, oligarchii i budującym własne wpływy znużonym profesorom amerykańskich uniwersytetów, którzy swoje kariery oparli na służbie politykom, rozwijaniu bezsensownych przepowiedni i popisach medialnych. „Wielkie dzieło” Francisa Fukuyamy wpadło w moje ręce zaraz po jego wydaniu. Pomyślałem sobie wówczas, że napisał je jakiś przedwcześnie wypuszczony pacjent zakładu psychiatrycznego, który nie miał co robić i zbyt mocno przejął się sukcesem Stanów Zjednoczonych po upadku ZSRR. Potem okazało się, że książkę czyta „cały świat”. A potem historia pokazała swoją dynamikę i japoński Amerykanin ogłosił, że został źle zrozumiany.

Typowy los bałamutnego „specjalisty” od problematyki międzynarodowej – wypadałoby rzec, zamykając sprawę! Tylko ile można tego produkować i jak długo. Radzę poczytać sobie Charlesa Krauthammera. Także jego teksty z ostatnich lat. A potem jeszcze *The unipolar World. The unbalanced future*, „pióra” Thomasa Mowle i Davida Sacko. „Dzieło” wydano całkiem niedawno, w 2007 r. Gdy się je czyta, można odnieść wrażenie, że amerykańskie uniwersytety opanowała całkiem pokaźna liczba przedwcześnie wypuszczonych pacjentów zakładów psychiatrycznych. Świat wiele by zyskał, gdyby powrócili tam, gdzie ich miejsce.

Po co teoria stosunków międzynarodowych? Ona ma wyjaśniać stosunki międzynarodowe? Wątpię, ponieważ sama koncepcja narodu to ideologia, która obecnie rozpada się na naszych oczach. Narody nie są zresztą uczestnikami stosunków międzynarodowych. Wiedza, która aspiruje do wyjaśniania zjawisk społecznych w kategoriach narodu, nigdy nie zyska statusu teorii. Ona pozostanie ideologią ukierunkowaną na artykulację interesów i uczuć, z której poważni badacze będą sobie tylko dworować.

Teoria stosunków międzynarodowych ma wyjaśniać funkcjonowanie państw we wzajemnych relacjach? Też wątpię, ponieważ państwo nie jest abstrakcją, ale skonfigurowanym zjednoczeniem żywych ludzi o charakterze hybrydy, niezwykle potężnym, ale mimo wszystko niezdolnym samodzielnie przesądzać o zjawiskach przebiegających w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Każda taka hybryda jest jednocześnie opakowaniem jednoczącym byty o bardzo różnym pochodzeniu, strukturze, celach, potrzebnych im zasobach, a przede wszystkim środkach działania. Jest ona ruchoma w tym sensie, że zmienia się w czasie. Gospodaruje zasobami, zdobywa dostęp do nowych środków, generuje kolejne siły i reprodukuje się. Dlatego teoria stosunków międzynarodowych nie może ograniczać się do badania państw, ale musi wyjaśniać, jak one funkcjonują w wielkiej przestrzeni właśnie jako hybrydy. Państwo nie określa samo siebie, ponieważ nie istnieje wszechwładny rząd. Między innymi o jego potęgę i losie przesądzają podmioty zgrupowane w obrębie owej hybrydy. Konstrukcja nowoczesnego państwa, o silnie skoncentrowanych i spolaryzowanych relacjach wewnętrznych, przesądza o tym, że uczestnikami stosunków międzynarodowych jest wiele różnych podmiotów.

Teoria stosunków międzynarodowych ma doprowadzić do tego, abyśmy rozumieli funkcjonowanie państw we wzajemnych relacjach i w kontekście relacji z innymi podmiotami, zdolnymi do rozwijania z nimi interakcji i przekraczania utrzymywanych przez nie granic? Takie stanowisko sporo wyjaśnia, ale wymaga dookreślenia z bardzo prostego powodu. Kiedy czytam tekst D. Kondrakiewicza, staje się dla mnie jasne, że On po prostu nie rozumie, o co faktycznie idzie w tym ujęciu. Myślę, że nie pojmuje tego zresztą duża

część teoretyków stosunków międzynarodowych. Wszystko dlatego, że nie traktują stosunków międzynarodowych jako stosunków społecznych i nie zdają sobie sprawy, że do ich zrozumienia niezbędna jest analiza socjologiczna. Nie mechaniczna, ale oparta na socjologii odnoszącej się do różnych wymiarów przestrzeni i czasu. Także mikrosocjologia, ponieważ bez niej nie istnieje makrosocjologia.

Odwróćmy uwagę od komunałów i spójrzmy prawdzie w oczy. Teoria stosunków międzynarodowych ma wyjaśniać sposób istnienia i funkcjonowania nie potęg, państw czy narodów pojmowanych jako abstrakcje. Podobnie jej szczególnie ważnym obiektem nie są wcale podmioty transnarodowe. Teoria stosunków międzynarodowych powinna pozwolić zrozumieć funkcjonowanie nas, ludzi, czyli całego gatunku ludzkiego (ale nie ludzkości) w wielkiej przestrzeni i długim czasie, a więc w wymiarze globalnym i okresie życia kolejnych generacji. Nie jako abstrakcji, ale zbiorów organizmów, które muszą zaopatrywać się w zasoby, generować siły, walczyć o przetrwanie i reprodukować się. Ludzkość nie jest wyobrażeniem czy ideą, podobnie jak nie są nimi zgrupowania ludzi. Nawet rozpatrywane jako całości potęgi polityczne składają się z osobników i ich zjednoczeń.

Spoglądając z perspektywy wielkiej przestrzeni, powiemy, że stosunki międzynarodowe to specyficzny typ sieci relacji charakterystycznych dla współczesnej fazy poliarchii, która bezpośrednio grupuje nowoczesne państwa, a pośrednio także innych uczestników, zwykle znajdujących się pod mniejszym lub większym nadzorem państw. Szczególnym atrybutem owych państw nie tyle jest jednak ich charakter narodowy, co pozostający w dyspozycji każdego z rządów, stojących na czele poszczególnych monarchii, monopol legalnej przemocy oraz fakt, iż one podkreślają swoją wyjątkową pozycję i wzajemnie uznają się za formalnie równe (przesądza to o procedurze dopuszczenia do tego grona).

Nie oznacza to jednak, podkreślam, że istnienie poliarchii w wielkiej przestrzeni ma charakter abstrakcyjny i nie jest związane z losem ludzi. Przeciwnie, relacje ludzi mają kluczowe znaczenie. W trudnych warunkach rywalizacji i kooperacji społecznej dochodzi do grupowania się pojedynczych osobników w małe, większe i wielkie całości społeczne, w efekcie masowych procesów koncentracji i polaryzacji ich stosunków społecznych. Takie byty nie są abstrakcyjne, lecz pozostają zawsze konkretnymi zjednoczeniami ludzi, nawet jeśli warunki ich egzystencji zmuszają władające nimi kierownictwa do posługiwania się ludźmi, także swoimi, jako środkami dającymi się wykorzystać i zużyć w walce.

Teoria stosunków międzynarodowych nie jest jednak teorią globalnego społeczeństwa (choć jest już chyba taka teoria stosunków międzynarodowych – w każdym razie znam rozdział w podręczniku jej poświęcony – co wszak nie musi dowodzić, że taka teoria została faktycznie sformułowana). Po pierwsze, takie społeczeństwo nie istnieje. Może kiedyś powstanie, ale nie nam o tym spekulować. Proces wiodący w tym kierunku musiałby się wiązać z drastycznymi zmianami natury ludzkiej. Coś takiego wymaga czasu w skali daleko wykraczającej poza tysiące lat i modyfikacji na poziomie kodu genetycznego. Po drugie, teoria stosunków międzynarodowych koncentruje się na stosunkach i związanych z nimi zjawiskach przesądzających o specyficznym istnieniu gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni i długim czasie. Inne rozpatruje w kontekście pomocniczym, pozwalającym wyjaśnić, jak dochodzi do tego, że egoistyczne jednostki ludzkie współpracują, łączą się w milionowe zjednoczenia i wspólnie działają w wielkiej przestrzeni i długim czasie.

Teoria stosunków międzynarodowych nie pokaże i nie objaśni wszystkich relacji w całości i w każdym wymiarze, ponieważ takie wchodzenie w szczegóły nie jest potrzebne do osiągn-

nięcia stojących przed nią celów. Ona ma pozwolić zrozumieć funkcjonowanie zjednoczeń skupiających najbardziej ambitne zbiorowości, zdolne operować w wymiarze znaczących obszarów Ziemi i nawet setki lat w efekcie reprodukcji stosunków społecznych i wszystkiego, co jest z nimi związane: układów sił, struktur, zależności, mniejszych organizacji, instytucji, idei, jak też chociażby obyczajów i moralności. Badanie zjawisk mikrospołecznych ma tu charakter pomocniczy.

Jest ono jednak konieczne, gdyż teoria stosunków międzynarodowych nie wyjaśnia zjawisk wielkiej przestrzeni w próżni, lecz tak, jak one powstają i istnieją, w sieciach stosunków społecznych, gdzie grupują się żywi ludzie, tworzą związki pomiędzy sobą, współpracują i rywalizują. Dzisiaj zresztą musi już także pokazywać w wymiarze międzynarodowym rolę pojedynczych ludzi, którzy stali się uczestnikami stosunków międzynarodowych, przenikając osobiście granice, angażując się wirtualnie lub tylko inspirując działania tego rodzaju ze strony innych. Tutaj także ujawniają swoją obecność niezliczone podmioty transnarodowe. Dlatego ta teoria, jeśli ma mieć jakąkolwiek wartość eksplanacyjną, nie będzie koncentrowała się na państwach, chociaż państwo musi być jej ważnym punktem odniesienia jako jedna z dwóch głównych dzisiaj – obok poliarchii – struktur wielkiej przestrzeni. Może stać się teorią znaczącą naukowo, tylko uwzględniając zjawisko mikrospołeczne, ponieważ zjawiska wielkiej przestrzeni i długiego czasu tworzą ludzie wyposażeni w ich naturę i wynikające z niej dążenia, sposoby działania i formy grupowania się.

Patrząc z drugiej strony, z perspektywy podłoża, na którym tworzą się relacje wielkiej przestrzeni, trwające w długim czasie, teoria stosunków międzynarodowych ma badać, jak ludzie i ich różnorodne związki, czyli podmioty skazane na współpracę i rywalizację, istnieją we wspomnianych wyżej wymiarach. Jak stworzyli poliarchię i jak ona dzisiaj funkcjonuje. Dlatego socjologia jest jej podstawową nauką pomocniczą.

W świetle powyższego jasne staje się, dlaczego świadomość potrzeby budowania teorii stosunków międzynarodowych pojawiła się dopiero w XX w., a wcześniej artykułowano tylko doktryny, pojedyncze poglądy lub słabo rozwinięte wypowiedzi na temat stosunków terytorialnych jednostek politycznych i związanych z nimi zjawisk. Do narodzin zapotrzebowania na teorię stosunków międzynarodowych konieczna była świadomość globalnej egzystencji gatunku ludzkiego. Ta jeszcze przed pierwszą wojną światową była słaba, chociaż pojawiały się już pierwsze oznaki nowego spojrzenia. Natomiast problematykę wielkiej przestrzeni (ale nie długiego czasu) zawłaszczyła geopolityka, pojmowana jako ideologia ekspansji potęgi w tym wymiarze. Ona kompletnie nie radziła sobie z problemem czasu i nie radzi sobie także dzisiaj, ponieważ ta kwestia jest trudna do zrozumienia, jeśli buduje się dogmaty mające służyć uzasadnieniu imperialnych poczynań ambitnej potęgi. Takie byty nieuchronnie przemijają, rozpadają się, a geopolityka ma jedynie tyle na ten temat do powiedzenia, że silniejsi pokonują słabszych. Powyższe twierdzenie jest po prostu czystą ideologią! Nie potwierdzają go żadne fakty. Podtrzymują je tylko interesy i ludzka bezmyślność, sprzyjająca powtarzaniu komunałów!

Dominujące potęgi zwykle nie tracą swoich wspaniałych pozycji, ponieważ są pokonywane przez rywali w akcie bezpośredniej konfrontacji. One są tak wielkie, że rzadko może im ktoś zagrozić i rozpadają się ze słabości wewnętrznej, z braku sił zdolnych uporać się z własnymi sprzecznościami wewnętrznymi, z osobistymi kryzysami. Przegrywane wojny kończą proces rozpadu, rozpoczęty znacznie wcześniej. Rozrośnięte potęgi nie są w stanie utrzymać kontroli nad gospodarką i zdobytą wcześniej przestrzenią, gdzie rozproszyły swoje

siły i łatwo je niszczyć. Angażują się w wiele konfliktów, nierzadko o małym znaczeniu i marnują własne siły w ambicjonalnych przedsięwzięciach bez kalkulacji nieuchronnych kosztów. Wtedy nie mogą trafnie określić celów i rzucają się na oślep do walki. Wówczas okazuje się, że łatwo atakują ich słabsi i rozszarpują po kawałku. Tych procesów geopolityka nie uwzględnia i to jeszcze osłabia jej i tak marną zdolność wyjaśniania zjawisk wielkiej przestrzeni. Nadmierna wielkość bywa przyczyną inicjującą drogę do klęski już tylko wtedy, gdy jest powodem odczuwania przesadnych ambicji. Tak bardzo doświadczył tego Napoleon, lecz kto rozumiał i rozumie jego położenie? Dzisiaj historia powtarza się, tylko miejsce Francji zajęły Stany Zjednoczone. Ich los łatwo wyjaśnić, ale czy to wyjaśnienie może posłużyć za podstawę przepisu realistycznej polityki Waszyngtonu?

W stosunkach społecznych, także międzynarodowych, zwyciężają nie najsilniejsi, lecz najlepiej dostosowani. Właściwości zaś tych określa nie siła fizyczna, nie marynarka wojenna, a także nie broń jądrowa i wyrafinowana elektronika. Wszystko to są środki ostatecznej walki, generowane i utrzymywane w kontekście złożonego funkcjonowania tkanki społecznej. W wielkiej przestrzeni zwykle liczą się inne czynniki: zasoby kulturowe, ideologia i technologia, dostęp do surowców, zdolność przetwarzania energii i utrzymania tempa rozwoju gospodarczego, integracja wewnętrzna i sprawność organizacji. Wielka rola przypada systemowi finansowemu, czyli krwiobiegowi gospodarki. Ogromne znaczenie ma umiejscowienie w przestrzeni, położenie wśród sąsiadów, tempo przyrostu naturalnego, a nawet liczy się czasem przypadek. On nie przesądza o sukcesie, ale może być inicjatorem klęski, innym zaś razem promować. Zwykle gigantyczne ambicje realizowane w wielkiej przestrzeni prowadzą do angażowania sił w wielu miejscach i ich utraty. Mniejsi mają ich mało. Dlatego muszą je oszczędzać, a przy tym łatwiej im nimi zarządzać. Panują nad sobą.

Dostosowanie to złożony problem. Dzisiaj na własne oczy możemy obserwować, jak jedna z najwspanialszych potęg w dziejach ludzkości słabnie w oczach wskutek typowej utraty zdolności dostosowania na wielu polach. Stoi przed alternatywą: zwinąć się, radykalnie ograniczyć lub upaść z wyczerpania.

W pracach i wypowiedziach autorów wcześniejszych, także starożytnych, można natknąć wiele interesujących uwag na temat stosunków politycznych potęg terytorialnych, ale nie znajdziemy tam poważniejszych elementów jakiegokolwiek teorii stosunków międzynarodowych, ponieważ ich być tam nie może. Na dodatek warto pamiętać, że teoria wyklucza rozważania normatywne. Ona niczego nie projektuje. Coś takiego powstaje na gruncie doktryn – z samej swej istoty pozbawionych statusu teorii.

Właśnie mylenie teorii z doktrynami, charakterystyczne także dla politologii i nauki o stosunkach międzynarodowych wielu innych państw, źle świadczy o przedstawicielach tych dyscyplin i prowadzi do opaczego rozumienia istoty teorii stosunków międzynarodowych. Nie można mówić o liberalnej teorii stosunków międzynarodowych, ponieważ liberalizm nie jest systemem naukowym tylko ideologicznym. Określanie feministycznych rozważań na temat stosunków międzynarodowych jako teorii jest efektem braku zrozumienia statusu i struktury wiedzy ludzkiej. Ciekawe dlaczego chyba w żadnym podręczniku teorii stosunków międzynarodowych nie znajdujemy rozdziału poświęconego wykładni konserwatywnej. Konserwatyści mieli mniej w tej sprawie do powiedzenia od liberałów? Nie, ale konserwatyzmu w liberalnych i marksizujących kręgach badaczy teorii stosunków międzynarodowych się nie lubi i dlatego nie pisze się o konserwatywnej doktrynie stosunków międzynarodowych. Pójdźmy dalej: dlaczego nie wyodrębnia się papieskiej teorii stosunków międzynarodowych?

Otóż średniowieczni następcy św. Piotra wiele wysiłku poświęcili rozwijaniu refleksji na temat funkcjonowania i koniecznego porządku politycznych potęg terytorialnych. Na dodatek próbowali realizować je w praktyce. Doktryna papalizmu dokładnie odpowiada temu, co wielu badaczy uznaje za teorię stosunków międzynarodowych.

Tak oto można jeszcze wzbogacić podręczniki historii teorii stosunków międzynarodowych. Jeśli ktoś potrzebuje, chętnie wymienię kilka kolejnych przykładów możliwych „teorii” stosunków międzynarodowych, faktycznie będących doktrynami. Także całkiem egzotycznych. Od razu ciśnie się na usta piękny przypadek chińskiej koncepcji porządku niebiańskiego. Na ten sztandarowy temat można długo się rozwódzić. Być może Chińczycy już debatuje nad tą „teorią”, tylko my jeszcze o tym nie wiemy. Tak samo można by mówić o „teorii” stosunków międzynarodowych starożytnych królów Akadu i Asyrii. Na ich użytek stworzono efektowną koncepcję czterech stron świata, które poddają swemu panowaniu nie przypadkowo, ale z konieczności wypełnienia misji, ponieważ powołał ich do niej bóg. Warto też sięgnąć do kosmogonii indiańskich. Uważający się za teoretyków stosunków międzynarodowych mogliby znaleźć sporo inspiracji w prekolumbijskich mitach. Chociaż w wizji Wirakoczy.

Poważna teoria stosunków międzynarodowych nie może być doktryną. Aby się pojawiła, konieczne jest rozumienie przede wszystkim problematyki wielkiej przestrzeni i długiego czasu. Przydałaby się także wiedza na temat funkcjonowania gatunku ludzkiego w takich wymiarach. Takiej wiedzy kiedyś nie było i teoria stosunków międzynarodowych nie była możliwa jako koherentny zespół twierdzeń. Natomiast pojedyncze czy nieliczne poglądy, nawet najciekawsze i najbardziej wnikliwe, nie tworzą teorii.

Jeśli Edward Carr był teoretykiem stosunków międzynarodowych, to Waltz już został wyniesiony do rangi papieża kościoła, który popadł w szereg kolejnych schizm. Warto rozejrzeć się za kardynałami. Kandydatów z pewnością nie zabraknie. Trzeba jednak pamiętać, że w międzyczasie kościół realistów rozszczępił się na kilka sekt (z tego licznego kręgu – trudno się w nim połapać nawet specjaliście od doktryn – najbardziej wzbudza moją wesołość podział na amerykańskie sekty „realizmu ofensywnego” i „realizmu defensywnego”, chociaż pewnie najbardziej zabawny jest niemiecki „realizm kosmopolityczny”). Tylko czy aby kształtująca się w ten sposób „teoria” stosunków międzynarodowych nie zacznie inicjować jeszcze większych podejrzeń poza kościołem jej wyznawców? Czy ona czasem nie przypomina w niektórych swoich wydaniach debat w klubie schorowanych emerytów?

Wypadałoby też zastanowić się, dlaczego próbuje się tworzyć teorię stosunków międzynarodowych, a jednocześnie wielu badaczy twierdzi, że tak zwana „Wielka Teoria”, czyli wyjaśniająca istotę i funkcjonowanie stosunków międzynarodowych, jest obecnie niemożliwa. Problem ten, chyba obecny już w sporach z lat sześćdziesiątych, ponownie pojawił się w dyskusji nad książką Wendta. W nim wyraża się prawdopodobnie najlepiej dzisiejszy stan tej dziedziny wiedzy. Ona z jednej strony nadal stoi w służbie imperialnych potęg, z drugiej musi borykać się z elementarną krytyką niezależnych kręgów akademickich. Tutaj dokonania Bulla, Mortona Kaplana, Roberta Keohane, Waltza i także niestety Wendta, muszą wzbudzać tylko politowanie, jako dziwne próby wyjaśniania świata głównie przy pomocy spekulacji nieopartych na jakiegokolwiek poważnej analizie – rozpaczliwie zawieszonych w próżni. Ich książki i koncepcje mogą zyskiwać popularność przez związek z interesami i działanie na uczucia. Nie będą ich jednak poważnie traktować ludzie myślący i dysponujący wiedzą

socjologiczną. Nie mówiąc o tych, którzy cokolwiek pojmują z biologii ewolucyjnej i jej społecznych konsekwencji.

W tym kontekście jeszcze raz ujawnia się nam fundamentalna rola socjologii, nauki o stosunkach i strukturach społecznych, w obrębie których w wielkiej przestrzeni i długim czasie konstytuuje się sposób funkcjonowania gatunku ludzkiego. W warunkach egzystencji globalnej osiąga on nie tylko szczególną postać, ale także część jego najbardziej świadomych kręgów zgłasza zapotrzebowanie na teorię mającą na tym polu coś do powiedzenia. Tukidydes był bardzo mądrym i spostrzegawczym człowiekiem, lecz jego umysł nie mógł penetrować w taki sposób problematyki stosunków społecznych, nawet jeśli niektórzy współcześni mu Grecy rozumowali w kategoriach anarchii, monarchii i poliarchii. *Wojna peloponeska* jest dziełem ze wszech miar inspirującym, ale trzeba być w jej odbiorze ostrożnym. Ona nie może pełnić funkcji świętej księgi.

Wróćmy jednak do samej istoty teorii stosunków międzynarodowych. W efekcie zjawisk przebiegających w skali mikro, generowane są procesy w wymiarze makro i kształtuje się tak ważna dla struktur wielkiej przestrzeni rywalizacja potęg. Ona prowadzi nie do równowagi sił, ale do kształtowania się układów sił w obrębie poliarchii, w których zgrupowane podmioty dążą do równowagi sił, walczą o przewagę, hegemonię i dominację. Tutaj ciągle liczy się los ludzi, ale nie widać go, kiedy rzeczywistość analizujemy w perspektywie kluczowych kategorii doktryn nazywanych „teoriami stosunków międzynarodowych”. Na przykład wspomnianego pomocniczego dogmatu równowagi sił.

Cała „teoria równowagi sił” to bajka dla dogmatyków i doktrynerów, którzy nie mają pojęcia o funkcjonowaniu stosunków społecznych. Gdyby istniała gdziekolwiek równowaga sił, życie musiałoby ustać. Gdyby w obrębie stosunków społecznych istniała równowaga sił, życie społeczne musiałoby wcześniej zostać wygaszone, a więc stosunki społeczne nie mogłyby zachodzić.

Takie twierdzenia są być może nowością dla wielu obecnych teoretyków stosunków międzynarodowych i irytują ich albo szokują, ale faktycznie są to banały. Równowaga sił oznacza znoszenie się sił, a więc bezruch. Życie i społeczeństwo są jego przeciwieństwem. Ponieważ życie się toczy i to wartko, na przykład wskutek morderczej rywalizacji o zasoby, żaden układ sił bytów społecznych nie znajduje się w jakimkolwiek momencie w równowadze, ale zmienia się, a w dłuższej perspektywie czasowej reprodukuje w kolejnych wariantach. Trudno sobie tutaj nawet wyobrazić stan zbliżony do równowagi. Także tam, gdzie nie ma w systemie wielkiej przestrzeni potęgi górującej nad innymi do tego stopnia, aby ona mogła sobie podporządkować rywali.

Gdyby teoretycy stosunków międzynarodowych zdawali sobie sprawę z tego, jak funkcjonują ludzkie społeczeństwa, w szczególności zaś na czym polega podmiotowość polityczna (wyjaśniam to pracowicie w rozdziałach 11–14 mojej książki – ale Recenzent się do nich nie odnosi), nigdy nie odwoływaliby się do dogmatu równowagi sił. Gdyby rozumieli sens mobilizacji politycznej, nie przyszedłby on im po prostu do głowy.

Stosunki międzynarodowe to układy sił o zmiennej dynamice, zawsze znaczącej, a często nie zrównanej, nieznajdującej odniesienia gdziekolwiek indziej, jeśli chodzi o pozostawiane po sobie przekształcenia. Także dlatego, że w tych ciągach długoterminowych i rozgrywających się w wielkiej przestrzeni interakcjach kształtują się i dojrzewają sprzeczności pomiędzy wielkimi zjednoczeniami ludzi, w tym także zdolnymi operować wszystkimi środkami. Egzystencja poszczególnych składowych gatunku, od pojedynczego człowieka po państwo,

nie jest dana, ale stanowi zawsze efekt zmagania pozostający w zależności od grupowania się gatunku w dostępnej mu przestrzeni.

Pójdźmy jednak dalej.

Po pierwsze, co upoważnia nas do analizy stosunków społecznych w efekcie wyrwania ich z procesu relacji społecznych długiego czasu, czyli skali wielopokoleniowej? Układy sił, także międzynarodowe, trzeba analizować w długim czasie, gdy podlegają dynamicznym przekształceniom i kolejne zastępują poprzednie w procesie reprodukcji stosunków społecznych. Wtedy nawet osobom niemającym wielkiej wiedzy o historii i dynamice stosunków społecznych musi ujawnić się ich immanentna nierównowaga, warunkująca ich istnienie.

Jest jednak także drugi elementarny aspekt tego problemu. Nawet w krótkim czasie, kilku lat, układy sił nie trwają w bezruchu, ale przeobrażają się, ponieważ niektóre zgrupowane w nich podmioty dążą wprawdzie czasem do równowagi (prowadzą politykę równowagi sił), jednak inne zmierzają w tym okresie do uzyskania przewagi, a największe walczą o hegemonię czy dominację (pokazał to chociażby Paul Kennedy). Nie istnieje złożony układ sił społecznych, a takim jest każdy układ stosunków międzynarodowych, zdolny nawet w krótkim czasie nie tylko trwać w równowadze sił, ale w ogóle w stanie zbliżonym do równowagi sił. Nie istnieje też układ sił, w którym wszyscy uczestnicy dążą do równowagi. Życie żyje, czyli walczy o zasoby, organizuje się wbrew przeciwnościom w przestrzeni i czasie, a także reprodukuje, zaś efektem tego jest dynamika jego interakcji i niezliczonych układów sił. Układy sił istnieją nie wskutek równowagi, ale złożonych interakcji ich składowych, gdy położenie uczestników zmienia się. Ono zmienia się stale, nawet jeśli zgrupowani ludzie nie zdają sobie z tego sprawy i trwają w błogim zadowoleniu.

Jest wreszcie trzeci aspekt międzynarodowych układów sił w kontekście rzekomej równowagi sił. Podmioty w nim występujące nie są abstrakcyjne, ale są to byty społeczne, o różnym znaczeniu i generujące ogrom różnorodnych sił. Samo państwo jest wspomnianą hybrydą, sterującą wieloma siłami o różnym charakterze, ale nie wszystkimi. Nad szeregami sił to państwo często nie panuje. W ekstremalnych momentach ono dysponuje wszystkimi środkami, jakie są w jego efektywnym zasięgu, a więc używa wszelkich dostępnych sił. W normalnych, stabilnych warunkach, musi być gotowe do czegoś takiego. Jednak państwo nie jest jedynym uczestnikiem stosunków międzynarodowych, ani nie występuje w jakichś szczególnych układach sił. Ono mierzy się tutaj nie tylko z innymi państwami, ale także z niezliczoną liczbą podmiotów kulturowych, gospodarczych, przestępczych i wielu innych. Posyła do boju nie tylko polityków, dyplomatów, prawników, żołnierzy, ale także przestępców, sportowców, naukowców czy agentów. Płaci okup piratom, porywaczom czy terrorystom. Także współcześnie, chociażby na wodach okalających Somalię.

Tutaj powstają układy sił o złożoności, jaka nie śni się tym, którzy rozprawiają na temat równowagi sił w stosunkach międzynarodowych. Te siły nigdy nie znoszą się wzajemnie. Ich mniejsze lub większe konfiguracje zmieniają się szybciej lub wolniej, w przestrzeni i w czasie, a państwo nie unosi się ponad tak funkcjonującymi układami sił, tylko jest ich uczestnikiem. Te układy sił tną rysy na jego ciele, które później pękają i przyczyniają się do kryzysu, a nawet upadku owej potęgi. Stosunki międzynarodowe to nie są tylko układy sił gigantów, ale także zgrupowania małych sił, lecz jednych niszczących, innych promujących w zmiennych okresach czasu.

Warto też może zapoznać się z czwartym problemem koncepcji równowagi sił. Co powoduje, że pozycje państw wobec siebie zmieniają się? Jedne słabną, a inne umacniają się,

a proces ten przebiega stale, jeśli mu się dobrze przyjrzyć, bez zakładania okularów narzucających spojrzenie przez pryzmat równowagi sił. Czy są to tylko działania pojedynczych ludzi, czy kluczową rolę odgrywają przebiegające w długim czasie przekształcenia kulturowe, gospodarcze i związane z organizacją społeczną, w tym z mechanizmami sprawowania władzy politycznej? Zjawiska te są poza zasięgiem decydentów. O nich rozstrzygają procesy zmian, nad którymi nikt nie panuje. W tych warunkach nie tylko nie można mówić o równowadze sił. Tutaj także polityka równowagi sił się nie liczy, gdyż o tym, co się dzieje lub nie dzieje przesądzają procesy przede wszystkim związane z funkcjonowaniem kultury i gospodarki.

Zdaje się są nawet tacy „teoretycy” stosunków międzynarodowych, którzy mówią o „równowadze strachu”, charakterystycznej dla epoki broni atomowej. Jednak jakkolwiek rzeczywista równowaga, jak i stan zbliżony do niej, nie może być efektem świadomości decydentów, elit, czy społeczeństw. Bilans sił kształtuje się w obrębie stosunków społecznych, w konsekwencji zachodzenia zmian kulturowych i gospodarczych. Ich wynikiem może być odczuwanie strachu, ale to nie wpłynie w istotny sposób na układy sił, zwłaszcza w długim czasie. Tutaj w końcu ktoś osiągnie przewagę i będzie chciał ją zrealizować. Wtedy nie pomoże żadna świadomość, ani strachu, ani nadziei. Ruszy machina walki zmobilizowanej bodźcami generowanymi ideami, rozwojem technologii i gospodarki.

Kto rozumie, jak funkcjonują sieci stosunków społecznych w przestrzeni, małej i wielkiej, kto pojmuje specyfikę podmiotowości i mobilizacji politycznej, ten nigdy nie będzie interpretował jakichkolwiek stosunków międzynarodowych w kategoriach równowagi sił. On bowiem jest świadom, że tu funkcjonują złożone układy sił, a to znaczy coś zupełnie innego.

Dodam jeszcze, że potęga polityczna, która głosi prowadzenie polityki równowagi sił, jest tylko podmiotem aktualnie niezdolnym do walki o przewagę, hegemonię lub dominację. Ona jest słaba lub traci siły i dlatego odwołuje się do doktryny równowagi sił. Gdy odzyska siły, podejmie ekspansję. Dlatego nawet polityka równowagi sił to bardziej ideologia, aniżeli typ rzeczywistego postępowania. Równowaga nie leży w naturze życia zdolnego do egzystencji społecznej, szczególnie zaś politycznej. Natomiast za pomocą pojęcia „równowagi” można wyrażać interesy. Także kamuflować własną ułomność. Doktryna równowagi sił nie jest zawołaniem dumnych i przekonanych o swojej wielkości.

Głoszona polityka równowagi sił często faktycznie bywała mitem, który sterował myśleniem polityków, ale nie czynił ich działań skutecznymi. Wystarczy zapoznać się z historią imperium brytyjskiego, zwłaszcza w okresie od połowy XIX w. do połowy XX w. Jednak teoretycy równowagi sił są odporni nie tylko na wiedzę socjologiczną, ale także historyczną. Tymczasem wszystkie te problemy można zrozumieć, analizując bardzo prosty materiał historyczny. Zalecałbym na przykład dodatkowo poznanie historii włoskich miast i tamtejszych organizacji terytorialnych od XII do XVI w. Wiele można się nauczyć z *Historii Włoch* Józefa Gierowskiego. Ciekawe, że zwolennicy koncepcji równowagi sił jakby nie czytali poważnych prac historyków stosunków międzynarodowych. Chociażby pióra Paula Schroedera. Wnikliwi dziejopisarze na tej koncepcji nie zostawili suchej nitki.

Ten, kto wierzy w równowagę sił, powinien czytać także inne dzieło historyczne, o społeczeństwie feudalnym, pióra Marca Blocha. Ta lektura w niezrównany sposób pokazuje, czym jest ludzkie społeczeństwo, jaki tygiel tworzy i jak w jego ramach w warunkach anarchii kształtuje się porządek społeczny – ale nie powstaje porządek międzynarodowy! Pewnie nikt inny nie pokazał tak dobrze dynamiki społecznej na konkretnym materiale źródłowym, jak francuski historyk. Studiowanie *Spoleczeństwa feudalnego* byłoby bardziej pouczające dla

specjaliści od stosunków międzynarodowych, aniżeli lektura *Wojny peloponeskiej*. Niestety tytuł tej pracy nie kojarzy się z problematyką międzynarodową, a to zdaje się eliminować go z puli lektur teoretyków stosunków międzynarodowych. Jakże niesłusznie!

Odporność specjalistów od stosunków międzynarodowych na wyniki badań materiału historycznego prowadzi do prostych periodyzacji stosunków międzynarodowych, gdzie datom: 1648, 1815, 1918, 1945 i pewnie 1989 przyznaje się znaczenie niemal magiczne. Uważa się, że są one początkiem i końcem kolejnych faz kształtowania się porządku międzynarodowego, a nawet tak zwanej „wspólnoty międzynarodowej”. Takie szkolne, bezmyślne w kontekście socjologicznym i pozornie historyczne podejście, faktycznie zaś zbudowane na twierdzeniach wysuwanych przez dyletantów, prowadzi do utraty z pola widzenia procesów długiego czasu, przebiegających w skali wielu setek lat. Wymienione daty są ważne, ale one nie są końcem jednej i początkiem drugiej równowagi sił. Społeczeństwa tak nie funkcjonują. Zbiorowości ludzkie żyją i dlatego w czasie dynamicznym zmianom podlegają określające ich kształt układy sił.

Jeśli chcemy badać międzynarodowe układy sił, to trzeba myśleć w skali wielkiej przestrzeni i długiego czasu, a więc na przykład konieczne jest analizowanie europejskich układów sił przynajmniej od okresu wyłaniania się jednolitych ośrodków dynastycznych w późnym średniowieczu po powstanie nowoczesnego państwa z jego instytucjami monopolu legalnej przemocy i wzajemnego uznania. Taka skala czasowa może nam coś powiedzieć o układach sił gatunku ludzkiego w wielkiej przestrzeni, a nie badanie systemu westfalskiego czy wersalskiego. Wtedy dopiero stanie się jasne, że nie były to systemy nawet zbliżone do równowagi sił.

Jakikolwiek system społeczny istnieje nie dzięki znoszeniu się utrzymujących go sił, ale w efekcie ich złożonego bilansu, w którym zawsze ujawniają się jego przekształcenia w czasie. Ponieważ siły jednych rosną, a innych maleją. Maleją nierzadko siły największych potęg. Państwo jest zresztą tak złożoną hybrydą, że w tym samym czasie jego pewne siły słabną, a inne rosną. Jaki wpływ ma to na jego pozycję międzynarodową? Tego nie wyjaśni się na gruncie dogmatu równowagi sił.

Stosunki międzynarodowe to relacje zgrupowań ludzi w wielkiej przestrzeni, angażujące niezliczoną ilość podmiotów o skrajnie różnym znaczeniu, niepoddające się czyjejkolwiek kontroli i pozostające ciągle w wielostopniowych i wielowątkowych procesach zmian przebiegających w zależności od określających je układów sił społecznych, postępu w zakresie technologii, a nawet pewnie przekształceń środowiska naturalnego. Kluczem do ich zrozumienia jest nie tylko kwestia przestrzeni, ale przede wszystkim czasu, w którym ludzie realizują swoje dążenia i przeobrażają się czynniki wpływające na ich działania. Ci ludzie są równocześnie indywidualami, jak i członkami zjednoczeń o charakterze odrębnych całości społecznych.

Zwolennicy dogmatu równowagi sił to rzecznicy redukcjonizmu minionej epoki. Elementarna znajomość socjologii, tym bardziej zaś historii, unicestwia ich stanowisko i stawia je w kręgu pseudonauki, która zajmuje się promowaniem modnych bzdur. Z dogmatem równowagi sił nie można się rozprawić, prowadząc niekończącą się egzegezę twierdzeń jego rzeczników. Nie tylko dlatego, że są mgliste i pełne sprzeczności. Konieczna jest znajomość materii społecznej przynajmniej w kontekście socjologicznym i historycznym. Tej zaś tym, którzy uważają się za teoretyków stosunków międzynarodowych rozpaczliwie brakuje. Dodam, że bardzo pomocna byłaby tu także znajomość biologii molekularnej i ewolucyjnej, ale to już inna sprawa.

Warto zapamiętać, że wprawdzie możliwa jest polityka równowagi sił, ale zwykle potęgę prowadzą inną politykę, walcząc o odzyskanie utraconych pozycji, przewagę, hegemonię i dominację. Jednak jakakolwiek polityka równowagi sił nie jest stanem równowagi sił, lecz przejawem dynamiki stosunków społecznych i ich układów sił. Na każdym poziomie, nie tylko makro, nie tylko mezo, ale przede wszystkim na poziomie mikro. Tutaj rodzi się dynamika stosunków społecznych, a więc także stosunków politycznych i stosunków międzynarodowych. Tu ujawniają się dynamika i nierównowaga, które owocują zmianą społeczną. Zmiana, a nie trwanie w bezruchu, jest istotą życia społecznego.

Kto głosi istnienie równowagi sił w stosunkach społecznych, w jakimkolwiek ich typie, czy politycznym, wewnątrzpaństwowym, czy międzynarodowym, dowodzi, że nie rozumie, czym jest społeczeństwo i jak funkcjonuje. Nie istniało kiedykolwiek państwo oparte na wewnętrznej równowadze sił. Państwo jest efektem procesów koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych w układach sił. Oznacza to coś zupełnie innego, aniżeli głoszą zwolennicy dogmatu równowagi sił. Wszystko to pracowicie wyjaśniam w *Anarchii i policentryzmie*.

Nowa teoria stosunków międzynarodowych będzie miała tutaj wiele do powiedzenia. Ona ostatecznie unieważni doktryny przemycane pod nazwą „teorii stosunków międzynarodowych”. Procesy społeczne określające trwanie i przebieg stosunków międzynarodowych należy śledzić od poziomu stosunków personalnych, międzyosobniczych, badając ich rozwój w przestrzeni i czasie w efekcie koncentracji i polaryzacji, co prowadzi do wyłonienia podmiotów politycznych, a więc bytów społecznych zdolnych operować, jak żadne inne, wszystkimi dostępnymi środkami. Specyfikę społecznych stosunków człowieka określa jego natura, która ujawnia się w środowisku przyrodniczym i społecznym w postaci działań i związków ludzi. Oznacza to, że sposób realizowania przez pojedynczych ludzi ich stosunków społecznych nie pozostaje bez wpływu na relacje wielkich potęg w globalnej przestrzeni, ale ujawnia się w warunkach przyrodniczych i społecznych. On interakcje wielkich potęg w ogromnej mierze warunkuje i teoretycy stosunków międzynarodowych nie mogą pozostać obojętni na ten problem.

Wystarczy porównać chociażby specyfikę kształtowania się stosunków społecznych w Rosji i w Stanach Zjednoczonych, aby wiele powiedzieć na temat nieuchronnych różnic w polityce zagranicznej obu państw. Ona wyrasta już z charakteru mikrorelacji międzyosobniczych. Jeśli są pomiędzy nimi podobieństwa, to nie wynikają one ze specyfiki ich stosunków wewnętrznych, ale z uniwersalnych właściwości natury ludzkiej i prawidłowości egzystencji najbardziej ambitnych potęg w wielkiej przestrzeni.

Teoretyk stosunków międzynarodowych, który nie rozumie problemu człowieka, natury ludzkiej i zjawiska grupowania się pojedynczych ludzi w małej przestrzeni i krótkim czasie, aby potem mogli oni zaistnieć w wielkiej przestrzeni i długim czasie, jest tylko bajkopisarzem. D. Kondrakiewicz chyba z własnego wyboru uplasował się pośród nich. Wszystko byłoby w porządku, gdyby jednocześnie nie uważał się za poważnego uczonego i nie pisał recenzji mającej pouczać innego badacza. Tym bardziej, że treść Jego tekstu dowodzi, że nie przeczytał recenzowanej książki, a jedynie ją przejrzał. Pozostawałaby jeszcze czynność przemyślenia, ale ona wymaga pochylecia się nad tekstem i cierpliwości. Czyżby tego wszystkiego brakowało Recenzentowi?

Tylko z perspektywy socjologicznej (choć koniecznie przy udziale i innych nauk: przede wszystkim biologii, historii, geografii, psychologii i neurologii) możemy zrozumieć kształtowanie się wielkich potęg i ich rywalizację w przestrzeni i czasie. Kiedy natomiast

piszemy o równowadze sił, systemach wielobiegunowych, absolutnej suwerenności, turbulencjach, możemy jedynie dojść do wniosku, że historia kończy się lub zaczyna, a potęgi walczą w lepiej lub gorzej równoważących się układach sił. Jednak w efekcie pozostaje tylko chaos terminologiczny i teoretyczny, którego nieświadomym promotorem jest D. Kondrakiewicz.

Pierwszy kryzys społeczny niweczy wszystkie „dokonania” takich teoretyków, którzy bawią się efektowną terminologią. Tacy właśnie teoretycy wierzyli, że Związek Radziecki będzie istniał wiecznie, kiedy on faktycznie był już trupem. Ich teorie okazały się bardzo wpływowe. Latem 1989 r. pracowałem w Instytucie Historii Współczesnej w Monachium, placówce o randze międzynarodowej, mającej ambicje zapraszać „tęgie głowy”. Skupieni tam badacze mocno się denerwowali, gdy ja twierdziłem, że wkrótce dojdzie do zjednoczenia Niemiec. Dla Niemców upadek Związku Radzieckiego i likwidacja granicy dzielącej ich kraj były czymś niepojętym, fantazją rozwijaną przez niezorientowanego przybysza ze Wschodu. Oto do czego prowadzi ortodoksyjne pojmowanie stosunków międzynarodowych. Nie trzeba jechać do Waszyngtonu, aby osobiście poznać mechanizmy utrwalania modnych bzdur.

Może trudno zrozumieć fundamenty mojego podejścia, kiedy pobieżnie czyta się *Anarchię i policentryzm*, ponieważ nie napisałem książki po to, aby ktoś ją przejrzał. Być może nie jest to praca na dzisiejsze czasy, gdzie liczy się pośpiech, ceni się efektowną powierzchowność, a myślenie uznaje za czynność przestarzałą. Mnie moi mistrzowie nauczyli czegoś innego i nie mam zamiaru dostosowywać się do tanich wzorców epoki telewizyjnej, którym tak mocno hołduje Recenzent. Dlatego pozwalam sobie krytycznie badać to, co inni uznają za dogmat.

Moim zdaniem D. Kondrakiewicz reprezentuje typ myślenia charakteryzującego się wyraźną specyfiką. Mnie ono jest zupełnie obce. Myślenie Recenzenta wyraża się niezdolnością nabrania dystansu wobec obowiązujących od dawna schematów. Ono jest zależne od nich do tego stopnia, że nie tylko nie zauważa rozpadu tych schematów, ale zdaje się nawet nie widzieć w ich obrębie pęknięć. Wszystko, co wykracza poza ustalone wzorce, co zmierza do poszukiwania nowych elementów teorii, uznaje On za nieuprawnione i mechaniczne. Daje temu jednoznaczny wyraz w recenzji. Tymczasem ja szukam tego, co wątpliwe i fałszywe. D. Kondrakiewicz sam myśli mechanicznie i dlatego zdolność do rozumowania poza obowiązującymi dogmatami bierze za objaw buty. Czy czasem nie pracuje nie tam, gdzie powinien? Czy aby jakaś szkoła wyznaniowa nie byłaby dla niego właściwym miejscem zatrudnienia? A może pójdzie jeszcze inną drogą i stworzy nowy kościół klasycznej teorii stosunków międzynarodowych z Tukidydesem na ołtarzu?

Tezy zawarte w mojej książce naruszają ustalone modele rozumowania. Gdy na przykład podważają wielce popularną, propagowaną przez prawników, koncepcję „porządku międzynarodowego”. Dzisiaj żaden wnikliwy socjolog nie opisywałby stosunków międzynarodowych w tej perspektywie, gdyż ona dowodzi nieznamości podstawowych mechanizmów określających funkcjonowanie ludzkich społeczeństw. Normatywizm to ślepa uliczka nauk społecznych, szczególnie zaś politologii i nauki o stosunkach międzynarodowych. Jeszcze mało kto rozumie, że jest on wyłącznie pozostałością podejścia do świata w intencji wiary religijnej. Dlatego konserwatyści go nadal kultywują. Feministki ich naśladowują, tylko o tym nie wiedzą.

Dzisiaj poważna teoria prawa międzynarodowego nie istnieje. Wystarczy wziąć podstawowe podręczniki, także zagraniczne, aby zobaczyć, jak zablakani są czołowi przedstawiciele tej dyscypliny w zakresie podstaw własnego myślenia. Ona będzie możliwa dopiero wtedy, gdy powstanie wreszcie teoria stosunków międzynarodowych zdolna cokolwiek wyjaśniać. Wtedy specjaliści od prawa międzynarodowego zweryfikują wiele swoich poglądów. Wtedy

dzisiejsze koncepcje prawa międzynarodowego i wiele jego norm obróćą się w proch, ponieważ ludzie rozumieją, że wyrażają one wyłącznie interesy dominujących potęg, kształtujących „porządek międzynarodowy” w zgodzie z własnymi jego przedstawieniami.

Gdyby lubelski Politolog znalazł trochę czasu i pochylił się nad takimi kategoriami, analizowanymi w recenzowanym tomie, jak stosunek społeczny, koncentracja i polaryzacja, mobilizacja polityczna, stosunek polityczny, podmiotowość polityczna, anarchia, monarchia czy poliarchia, wtedy miałby szanse poszerzyć swoje horyzonty myślowe i lepiej zrozumieć, czym są stosunki międzynarodowe. On jednak tego nie uczynił, zadowolając się ogólnikowymi, powierzchownymi konstatacjami, jakby pisał naprędce, z założeniem, że temu akurat autorowi trzeba „dołożyć”. Proszę bardzo, niech strzela, byle ostrą amunicją i celnie. Ja nie zwykłem się uchylać. Tymczasem nastawienie Recenzenta spowodowało go na manowce i zgubiło. Ono nie pozwoliło zrozumieć tego, co było intencją autora książki, wyrażoną zresztą chyba dość jasno, chociaż obszernie. Nie treść książki, ale podejście Recenzenta zrodziło jego własne rozczarowanie. Niestety nie jest On tego świadomy.

Pozwolę sobie zejść na poziom banału. Tak powinno być w przypadku uczciwej recenzji pracy teoretycznej, że recenzent najpierw rozumie teorię czy przynajmniej próbuje ją zrozumieć, a potem ocenia. W mojej książce wprawdzie nie ma skończonej teorii, są jednak jej zaawansowane elementy i na dodatek składają się one na całość dającą się analizować i krytykować. Jeszcze jest tu wiele do zrobienia, dlatego w podtytule mówię o „elementach teorii”. Zdaje się jednak, że takie podejście do *Anarchii i policentryzmu* albo jest za trudne dla D. Kondrakiewicza, albo też uważa On, że książka czy może jej autor na to nie zasługują. Dobrze byłoby, aby lubelski Politolog odpowiedział sobie i innym na to pytanie.

Szanowny Recenzent nie zauważa też bardzo ważnej tendencji w nauce współczesnej. Ona rozwija się powoli, ale coraz silniej. Idzie mianowicie o myślenie ponad podziałami charakterystycznymi dla odrębnych dziedzin wiedzy. Szczególne znaczenie ma to w nauce o stosunkach międzynarodowych, gdzie angażują się nie tylko politolodzy, historycy, ekonomiści, ale także filozofowie, socjologowie, kulturoznawcy, a nawet matematycy. Stosunki międzynarodowe to wdzięczna dziedzina badań, gdzie mogą spotkać się reprezentanci różnych dyscyplin nauki, także psychologii i neurologii. Myślę, że rozwój teorii stosunków międzynarodowych jest nierozzerwalnie związany z takimi spotkaniami i one będą nabierały znaczenia.

Zamiast rekonstruować, analizować i składać w całość te elementy upadających doktryn, które zdają się jeszcze dysponować siłą wyjaśniania, może lepiej je rozważyć krytycznie i na ich gruzach zbudować nową teorię. Ona przejmie z upadłych koncepcji to, co z nich zostało, ale ujmie ich dokonania na nowych fundamentach i otworzy przed nami nieznaną dotychczas perspektywę na stosunki międzynarodowe. W niej ważną rolę z pewnością odegra podejście socjologiczne.

Ortodoksja reprezentowana przez Recenzenta jest bez przyszłości. Kościół klasycznej teorii stosunków międzynarodowych nie utrzyma się! Warto jednak już teraz przestać bezceścić dorobek Tukidydesa i lekceważyć dzieło Webera!

II. D. Kondrakiewicz cały czas szkicuje wizję prawidłowej pracy naukowej, czyli własne wyobrażenie tego, jak ona powinna wyglądać. Jakby zapominał, że istnieją jeszcze inne formy wypowiedzi naukowców, między innymi esej, szkic czy zarys. Nie każdy jest w fazie przeddoktorskiej, przedhabilitacyjnej i nie każdy żyje metodologią. Są także tacy

naukowcy, którzy próbują zastanawiać się nad stanem istniejącej wiedzy i podejmują próby tworzenia ujęć alternatywnych, nie bojąc się, że ktoś napisze im negatywną recenzję. Oni nie walczą o karierę, a jedynie próbują samodzielnie myśleć i nie interesują ich ani uznanie, ani popularność. Publikują tylko celem testowania swojej teorii.

Esej jest właśnie niczym innym, jak ową *próbą* poszukiwania nowego w obrębie obszarów dostępnych myśleniu. Nierzadko wbrew wielu zasadom metodologii akademickiej i tam, gdzie język ociera się o granice tego, co znalazło się w obrębie ludzkiej świadomości.

Tymczasem Recenzent sprawia wrażenie, jakby nadal uczęszczał do przedszkola nauki. Gdyby przyjął wyobrażenie jedynej dopuszczalnej formy pracy naukowej, jaką przedstawił D. Kondrakiewicz, to należałoby uznać Carla Schmitta, Hannah Arendt. Michaela Oakeshotta, a także w znacznej mierze Raymonda Arona, za pomyłców i warsztatowych nieudaczników. Tymczasem oni wpływali na myślenie elit swojej epoki. Także pomimo tego, że ich książki otrzymywały negatywne recenzje. O autorach tych miałych tekstów dzisiaj już nikt nie pamięta, lecz po dzieła wymienionych klasyków naszych czasów ciągle sięgamy, czytając je krytycznie i inspirując się nimi z satysfakcją.

Tym bardziej my, którzy jeszcze nie udowodniliśmy swojej wielkości, wykażmy trochę szacunku dla poszukiwań czynionych przez innych, ich argumentów i sami operujmy nimi, wolni od pokusy dezawuowania nieprzypadających nam do gustu za wszelką cenę i małym wysiłkiem. Bez skłonności bicia pokłonów doktrynerom.

I wreszcie inna nie mniej ważna kwestia. Czy mianowicie recenzent może pisać, co mu przyjdzie do głowy? Czy może na przykład pouczać autora, jak powinna wyglądać praca, którą on napisał? Gdy robi to wykładowca w stosunku do studenta, profesor wobec doktoranta czy habilitanta, wszystko jest w porządku. Jednak kiedy zjawisko to ujawnia się w relacjach odwrotnych, zwłaszcza pomiędzy obcymi, trudno uznać je za prawidłowe.

W szczególności D. Kondrakiewicz powinien sobie zdać jednak sprawę z tego, że książki, w których podejmuje się próby wytyczenia nowego kierunku myślenia zwykle nie są całkiem zgodne z pewnymi aktualnie dominującymi uniwersyteckimi kryteriami metodologii i standardami stawianymi pracom doktorskim czy habilitacyjnym. Ich autorzy mogą sobie pozwolić na własne podejście do tematu, subiektywizm sięgający znacznie dalej, zwłaszcza w kontekście tego, co dotychczas jawi się jako niepojęte albo oczywiste. Ten subiektywizm nieraz łamie schematy i staje się podstawą nowego, bardziej obiektywnego spojrzenia.

D. Kondrakiewicz w swojej recenzji wiele razy pisze o tym, co Jemu się nie podoba w mojej książce, nie uzasadniając nawet w jednym przypadku swojej opinii. Dziwi to, ale jednocześnie pokazuje, że nie idzie o argumenty, dyskusję, tylko negację na zasadzie własnego widzimisię.

Autor recenzji mocno przesadził w pouczeniu mnie odnośnie do tego, jak powinna wyglądać moja książka z teorii stosunków międzynarodowych. Być może właśnie tam, gdzie ona Recenzentowi wydaje się odległa od problematyki stosunków międzynarodowych, najbardziej dotyka tych kwestii i najwięcej wnosi do dociekań nad nimi.

Pójdźmy jednak dalej, aby zrozumieć kluczowe sprawy krytyki naukowej. Warto zauważyć, że jeśli uczony o wielkim dorobku wyraża opinie niepoparte wywodem uzasadniającym oceny, to może to coś znaczyć. Z pewnością nie jest to podejście wzorcowe i do naśladowania, ale odczucia wybitnego badacza też się liczą, ponieważ swoimi pracami udowodnił on, że rozumie więcej niż inni. Gdy weźmiemy pod uwagę takie teksty wielkich, czyli po prostu wnikliwych, umysłów, jak *Teologia polityczna* Schmitta czy *Roszczenia polityki* Oakeshotta,

tym bardziej zaś *Eichmanna w Jerozolimie* Arendt, to jasno widać, że więcej tam odczuć aniżeli argumentów. Jednak są to odczucia ludzi o szczególnej intuicji, którzy mogą co innego, aniżeli inni. Ci inni po prostu nie dysponują darem wybitnej wnikliwości, opartej nie na dowodach, lecz na odczuciach. Opieranie się na odczuciach jest ryzykowne, ale bywa okresowo efektywne i pouczające przynajmniej w ograniczonym czasie.

Jest to wszystko tym bardziej ważne, ponieważ autor *Anarchii i policentryzmu* też ma się za początkującego. Teoria stosunków międzynarodowych to nowa dla mnie dziedzina i po prostu próbuję rozważyć to, co inni zbudowali i co obecnie nie wytrzymuje próby czasu. Zająłem się nią tylko dlatego, że stanowi ona, moim zdaniem, ważną część fundamentów teorii polityki, a tym samym całej politologii. Polityka bowiem jest zjawiskiem wielkiej przestrzeni, chociaż jej obecność ujawnia się nam w o wiele mniejszej skali. Jest to złudzenie, które rozbić może tylko teoria stosunków międzynarodowych. Jednak nie ta istniejąca. Dokona tego teoria przyszłości. Być może więc nie jestem butny, jak stwierdził Recenzent, tylko skromnie próbuję uprawiać naukę.

Przy okazji może się niektórym osobom wydawać, że burzę ustalone paradygmaty nauki, a nawet powszechne wzorce życia akademickiego, w szalonych aktach artykulacji osobistych ambicji. Jednak byłoby to kolejne złudzenie. Podstawy teorii stosunków międzynarodowych same dzisiaj walą się z hukiem bez mojego udziału. O tym chyba wszyscy wiemy. Natomiast ja co najwyżej próbuję budować i rozważać argumenty. Nie oczekuję przy tym, że przemówią one do wszystkich. Zawsze przecież znajdują się rzecznicy starego reżimu i danych doktryn, gotowi do końca bronić resztek ortodoksji. Jeśli D. Kondrakiewicz wybrał taką opcję i mimo wszystko trwa przy wygasającej ortodoksji, to nie mam nic przeciwko temu i szanuję decyzję, chociaż jest aktem autodestrukcji. Można kochać człowieka, ostatecznie psa czy kota, ale miłość do dogmatów lansowanych jako prawdy naukowe jest wyłącznie przejawem niedojrzałości. Jeśli jednak D. Kondrakiewicz pisze recenzję mojej książki w oparciu o osobiste odczucia i bez próby wnikięcia w jej treść, to zgłaszam sprzeciw. Każdy autor, nawet początkujący, ma bowiem prawo do rzeczowej krytyki, na argumenty, aby mógł się z nimi zmierzyć. Z czym zaś można się mierzyć, czytając recenzję lubelskiego Politologa?

Przyznajmy, nie jesteśmy mistrzami. Dlatego pozostaje nam dyskusja tylko za pośrednictwem argumentów. Uczucia pozostawmy na inne okazje.

Namawiam Recenzenta do ponownej, spokojniejszej i bardziej wnikliwej lektury *Anarchii i policentryzmu*, a potem polemiki ze mną na innym poziomie. Po dokonaniu przemyśleń i bez przybierania tej typowej i męczącej dla otoczenia postawy człowieka, który wie lepiej niż inni, jak powinna wyglądać książka akademicka. Też bez wyśmiewania wybranych cytatów i bez powierzchownej negacji perspektywy socjologicznej. Naprawdę warto! Dla mnie taka krytyka byłaby wielce pożyteczna, ponieważ pokazałaby niedociągnięcia mojej teorii. Jest ich wiele i Recenzent mógłby wyliczyć pewnie takie, których dotychczas nie zauważyłem.

Jednak D. Kondrakiewicz nie osiągnie niczego wartościowego, nabijając się z innych i wrywając ich wypowiedzi z kontekstu. Muszę niestety stwierdzić, że wszystkie krytyczne uwagi ze s. 192-193 wspomnianej recenzji są błędne. Autor tekstu nie zrozumiał tego, co miałem do powiedzenia. Gdy streszcza moje poglądy, zniekształca je, a nawet obraca w ich przeciwieństwo. Stosowane przeze mnie skróty myślowe powinien bez trudu rozszyfrować. Ostatecznie książka jest skierowana do ludzi odczytanych, a nie do nowicjuszy. Warto zresztą dodać, że poznają ją niektórzy moi białostoccy studenci i przynajmniej nieliczni wchodzą w jej treść głębiej aniżeli dokonał tego lubelski Politolog. Na s. 193 D. Kondrakiewicz

wyśmiewa pewne moje sformułowania, wyrywając zdania z kontekstu. Jest to nieuczciwe. One wszystkie, chociaż poza tekstem mogą się różnie kojarzyć, czytane w kontekście są całkowicie słuszne i powinny skłaniać do innej refleksji, aniżeli ta, którą poczynił Szanowny Recenzent. Podkreślam raz jeszcze: nie piszę tekstów, które można przekartkować i potem się o nich naprędce wypowiadać.

Zapraszam do dyskusji przy pomocy narzędzi godnych poważnych naukowców. Chwytajmy się argumentów i szanujmy nawzajem, czytając to, co piszą inni – nie tylko spis treści, ale całość tekstu.

Czytelnik tej odpowiedzi na recenzję nie powinien odbierać jej przez powierzchowne wrażenia, zwłaszcza pod wpływem chwilowych emocji. Moje intencje są poważne, szczerze i szlachetne. Stąd między innymi długość tekstu (nie napisałem go w jeden wieczór) i odwołanie się do najpoważniejszych argumentów teoretycznych. Formułując niniejsze słowa, nie chcę D. Kondrakiewiczowi utrudniać życia, ale dać szansę otwarcia w nim nowego etapu. Być może krytyczna, lecz wnikliwa analiza moich kategorii, doprowadziłaby Go do nowego spojrzenia na problem teoretycznego ujęcia stosunków międzynarodowych. Nie przez pryzmat chaosu, równowagi sił, absurdalnych wizji systemów bipolarnych i multipolarnych, ale w kontekście koncentracji i polaryzacji stosunków społecznych, anarchii, monarchii i poliarchii. Rozumianych nie jako zjawiska abstrakcyjne, ale społeczne, a więc kształtujące się w efekcie aktywności żywych ludzi i podlegające analizie socjologicznej. Te kategorie, śmiem twierdzić, wyjaśniają o wiele więcej, aniżeli koncepcje dogmatycznej „teorii” stosunków międzynarodowych, tak ukochane przez lubelskiego Politologa. One właśnie kończą swój żywot, a ci ludzie, którzy nie są tego świadomi, nic już nie wniosą do nauki.

Nie chodzi o to, aby D. Kondrakiewicz zaczął myśleć po lekturze *Anarchii i policentryzmu* jak ja. Idzie o to, aby uwolnił się od przestarzałych kategorii pojęciowych i koncepcji, a potem otworzył się na rzeczywiste problemy naukowe. Ciekaw jestem, jak Recenzent odpowie. W mojej książce jest wiele do skrytykowania, bo to przecież tylko *próba*. Obawiam się jednak niestety, że chociaż przed D. Kondrakiewiczem rozpościera się nowa szansa, zareaguje on wedle dominującego schematu: „chłop swoje, a baba swoje” i ogłosi, że złamałem Mu życie. Upoważnia mnie do tego sądu lektura samej recenzji. Czasem się jednak człowiek myli w ocenie innych ludzi i chciałbym, aby taki przypadek miał właśnie teraz miejsce.

Niektóre moje słowa będą trudne do przyjęcia przez Recenzenta, a pewnie i przez część środowiska. Sformułowałem je jednak nie bez powodu. Wydaje mi się, że zmiana myślenia u każdego człowieka, także u mnie, możliwa jest tylko w efekcie wielkiego wstrząsu. Wyłącznie tak nasz umysł jest w stanie adaptować się do nowej perspektywy widzenia świata. Lektura tej odpowiedzi na recenzję musi poruszać, aby mogła doprowadzić do wstrząsu. Tekst został pomyślany i napisany nie tylko celem wyjaśnienia znaczenia i podstawowych problemów teorii stosunków międzynarodowych, ale także przejściowego wywołania jak najbardziej nieprzyjemnych uczuć. Inaczej nie warto byłoby się do niego zabierać.

Sam kiedyś taki wstrząs przeżyłem, gdy recenzent wydawniczej wersji mojej habilitacji nie zostawił na niej suchej nitki. Praktycznie wdeptał ją w ziemię – od początku do końca i bez żadnych zahamowań, na podobieństwo jakiegoś rozkoszującego się swoim wyczynem sadysty. Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało. Pamiętam dokładnie, jak po wręczeniu mi opinii uciekał przede mną po szerokich schodach dawnego Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Dobrze, że się wówczas nie pośliznął, bo miałbym go na sumieniu.

Wszystko to działo się późną wiosną 1987 r. W czerwcu 1988 r. odbyło się moje kolokwium habilitacyjne, ponieważ żaden profesor wyznaczony na recenzenta nie zgłosił jakichkolwiek liczących się zastrzeżeń. Recenzent wydawniczy też siedział na sali i jakoś nie widziałem u niego żadnych sadystycznych objawów. Zadał mi nawet nietrudne pytanie, a już po wszystkim napiliśmy się razem wina w dobrej atmosferze. Wszystko to miało miejsce wyłącznie dlatego, ponieważ on miał rację, a ja byłem zdolny zrozumieć jego stanowisko i zmienić tekst pracy. Wspólnie odnieśliśmy sukces.

Zastanawiam się jednak dzisiaj, co by się stało, gdyby wówczas ów profesor nie zdecydował się odegrać roli pozbawionego skrupułów sadysty. Czy byłbym w stanie pojąć jego krytykę? Czy byłbym zdolny napisać to wszystko, co znalazło się w tym tekście?